

Materialy

KS. WOJCIECH GUZEWICZ

DZIENNIK BPA MIKOŁAJA SASINOWSKIEGO (CZ. 4)

Czwarta część dziennika bpa Mikołaja Sasinowskiego z czasów II wojny światowej obejmuje okres od 17 czerwca 1940 r. do 6 sierpnia 1940 r. Tak, jak w przypadku pierwszych trzech części, znajdują się tu również pewne luki – brak adnotacji o kilku, kilkunastu dniach, spowodowane albo ręką samego Autora albo redakcją bpa Edwarda Samsela. Nie stanowią one jedna istotnego braku ciągu wydarzeń, spotkań czy rozważań / przemyśleń Autora. Warto dodać, iż trzy pierwsze części wspomnień zostały już opublikowane w czasopiśmie naukowym „Studia Teologiczne” w 2023 r. i 2024 r.¹

17 czerwca 1940 r.

Z samego rana nadleciały nad Lyon trzy bombowce niemieckie. Wszystko szybko udało się do schronów. Pokręciły się trochę nad zabudowaniami „Palais de la Foire”. Nasze samoloty przepędziły ich w krótkim czasie. Czekam dalej na wyjazd. Zdążyłem zawiadomić ks. Nowackiego o naszym wyjeździe. Na odprawie podzielono nas na grupy. Ks. Kotowski jedzie ze swoim zgrupowaniem, ja zaś z ks. Nowackim jedziemy z moim zgrupowaniem i zgrupowaniem oficerskim z rue de Sér . Wyjazd nasz nastąpił dopiero wieczorem o godz. 20:00. W czasie transportu nas na dworzec dało się odczuć z jednej strony wśród Francuzów olbrzymie przygnębiecie. Słyszało się słowa – że liczymy tylko na was Polacy i na Anglików. Nasza armia nas zawiodła. Rzuciła broń uciekając w popłochu. Jakoż tak niestety było. Armia francuska była zdegenerowana i przepita. Warstwa robotnicza popsuta

¹ Ks. Wojciech Guzewicz – Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie; ORCID: <https://orcid.org/0000-0002-6759-0856>; e-mail: wojciech.guzewicz@uwm.edu.pl
Zob. W. Guzewicz, Dziennik bpa Mikołaja Sasinowskiego (cz. 1), „Studia Teologiczne” 41(2023), s. 347-362; Tenże, Dziennik bpa Mikołaja Sasinowskiego (cz. 2), „Studia Teologiczne”, 42(2024), s. 457-472; Tenże, Dziennik bpa Mikołaja Sasinowskiego (cz. 3), „Studia Teologiczne”, 42(2024), s. 473-490.

i skomunikowana. Ponieważ o godz. 12:00 marszałek Petain wygłosił jako przewodniczący rządu francuskiego przemówienie, że wysłał dziś delegację do rządu Hitlera, która ma za zadanie pertraktować z Niemcami o pokój². Z tej przeto racji spotkać można było dużo ludzi szczególnie mężczyzn, którzy ogromnie cieszyli się z owego postanowienia rządu. Kobiety jednak zachowywały się przeciwnie. W ich twarzach widać było ogromne przygnębienie i smutek. One, więcej subtelne, posiadające więcej patriotyzmu i miłości do ojczyzny, czuły instynktownie, że Francja, ten cudny kraj, ta „primogenita Filia Ecclesiae”³ poddaje się w niewolę germanizmu.

19 czerwca 1940 r.

Ranek cudowny wśród pagórków centralnego masywu – godz. 3:00 – Périers. Na stacji widać tylko robotników. Spokój zupełny. Chce się odprawić Mszę św. – Niestety! Nawet trudno o tym myśleć. Godz. 5:00 – Bédarieux i inne stacje kolejowe. Nigdzie już nie można dostać nawet chleba. Dzięki uprzejmości żołnierzy zjadam trochę chleba i czarną kawę. To mnie trochę podniosło fizycznie. Duchowo jednak nie załamuje się jeszcze. Przeciwnie staram się przebywać wśród żołnierzy, a nawet oficerów i ich podtrzymywać na duchu. Dopiero teraz przekonałem się ile znaczy wiara i kapłan w chwilach podobnego przygnębienia.

Po południu dojeżdżamy do obozu wojskowego w Larrae⁴. Deszcz leje. Dla oficerów nie ma jedzenia. Wszystko zmęczone wskutek niewyspania, podróży i głodu rzuca się na słomę trochę odpocząć. Jak długo zostaniemy tu – nie wiadomo. Robimy tylko gruntowniejsze przygotowania do dalszej podróży. Palimy dokumenty, które mogłyby nas zdradzić. Jesteśmy stale w ostrym pogotowiu. Wieczorem ks. Nowacki prowadzi mnie do miejscowego ks. proboszcza na kolację. Dowiaduje się tam, że dziś przez dziennik radiowy było podawane, że mianowicie w tym ogólnym popłochu wojska francuskiego znaleźli się ludzie z brygady gen. Maczka, którzy mimo braku amunicji i środków walki z butelkami benzyny rzucili się na kolumnę zmotoryzowaną niemiecką i woleli raczej śmieć ponieść, aniżeli oddać się w ręce wrogów. Zniszczyli przy tym dużo czołgów niemieckich, osłaniając

² Ofensywa niemiecka rozpoczęta 10 maja 1940 roku kończyła definitywnie okres dziwnej wojny na froncie zachodnim. Niemcom skutecznie udało się zrealizować ideę blitzkriegu, w konsekwencji 22 czerwca 1940 r. Francja podpisała rozejm w Compiègne i się poddała.

³ Tłumaczenie: pierworodna córka Kościoła.

⁴ Larra – miejscowość i gmina we Francji, w regionie Oksytania, w departamencie Górna Garonna.

odwrót uciekającej ludności cywilnej. Wzruszony proboszcz powiedział: „Mam zaszczyt gościć synów tak dzielnego narodu”. Kolacja choć skromna – smakowała doskonale. Po kilku bowiem dniach głodowania zjedliśmy coś ciepłego wreszcie. Noc na słomie w kasynie oficerskim. U powyższego proboszcza zostawiłem kupon „Boune d` Arment”⁵ na 1000 franków – płatny po dwóch latach.

21 czerwca 1940 r.

Argeles sur la mer (miejscowość kąpielowa). Jest tu jednocześnie cała masa uchodźców hiszpańskich po wojnie z gen. Franko⁶. Nas osiedlono również w tym obozie. Brudno, pchły, jedzenia nie ma. Obmyłem się trochę, następnie odprawiłem Mszę św. Później poszedłem nad morze, żeby się choć trochę wykąpać. Wszak już tak dawno nie rozbierałem się. Woda trochę orzeźwi. Jakoż tak się stało. Na obiad zjadłem kawałek chleba z konserwami. Tymczasem do obozu przybywa coraz więcej ludzi. Prawie całe nasze lotnictwo ściągnięto tutaj. Oprócz tego przyjechały niedobitki z brygady gen. Maczka. Atmosfera strasznie ciężka. Brak papierosów dodaje reszty. Rozpolitykowanie ogromne. Jest cały szereg ludzi, którzy usiłują przedostać się do Hiszpanii. Granica jednak jest mocno strzeżona. Rzucają przez to wszystko i uciekają w głąb Francji. W tak obrzydliwych warunkach i atmosferze musiałem wyęźać wszystkie swoje siły, by temu się jakoś przeciwstawić. A zatem przede wszystkim uzupełnić brak chleba i papierosów – wszystką swoją gotówkę wydałem na ten cel. Robiłem to zarówno dla swoich lotników, jak również dla czołgistów (rozbitków). Pod wieczór deszcz zaczął nas smagać nielitościwie. Żołnierzy naszych dużo w lesie pod gołym niebem. Muszą przez to szukać schronienia przed deszczem. Przynajmniej znalazłem nad samym morzem chlewek z łóżkiem, gdzie mogłem się trochę przespać. Jednakowoż nerwy już są nadszarpnięte. Mimo wysiłków – spać trudno. Człowiek stale myśli o Polsce, o ostatnich wypadkach we Francji i o naszej sytuacji.

22 czerwca 1940 r.

Wczoraj wieczorem 1900 naszych ludzi wyjechało dalej. Dokąd? Nie

⁵ Zobacz przypis 25 z trzeciej części dziennika.

⁶ Wojna domowa w Hiszpanii miała miejsce w latach 1936–1939. Zapoczątkowana została buntem części armii hiszpańskiej wznieconym 17–18 lipca 1936, a skierowanym przeciwko terrorowi lewicowego rządu. Doprowadziła do obalenia komunistów i ustanowienia w Hiszpanii rządu generała F. Franco.

wiem. Mogłem jechać z nimi, bo mnie wyznaczono. Jednakowoż postanowiłem wyjechać stąd ostatnim transportem. Wszak mnie ks. Gogoliński⁷ uważał za przełożonego. Nie zrobił tego oficjalnie, ale praktycznie. Obowiązkiem przeto moim jest dotrzymać i wytrwać na stanowisku mimo niebezpieczeństwa. Postanawiamy, że pojedzie z tym transportem ks. Kotowski⁸. Zostało nas jeszcze 2,5 tys. ludzi. Czekamy na okręt...

W niedalekim obozie koncentracyjnym przebywa 150 Polaków. Są to jeńcy z legionu komunistycznego w Hiszpanii, komuniści francuscy – Polacy i uchodźcy polscy z Belgii. Otoczeni podwójnymi drutami... dokładnie strzeżenie przez policję. Postanowiłem ich odwiedzić. Idę przeto do dowództwa obozu i proszę ich o to, oświadczając, że jestem kapłanem. Chcę ich odwiedzić i może im pomóc. Początkowo spotykam się z bardzo grubiańską odpowiedzią. Nie zrażam się tym, ale próbuję wytłumaczyć. Pułkownik – dowódca obozu – wreszcie zgadza się, ale pod warunkiem, że pozwoli mi na to generał – dowódca placu z Perpignan – dzwonię do niego. Niestety! Tak jest telefon zajęty, że połączenia nie mogę uzyskać. Po dość długim oczekiwaniu wyszedłem. Odwiedziny moje nie doszły do skutku.

Do naszego obozu przyjechała pewna grupa lotników czeskich. Mają razem z nami jechać dalej... przed wieczorem przyjechało kilku tysięcy lotników francuskich.

23 czerwca 1940 r. – niedziela

Pogoda... dość silny wiatr od morza. Polecam ks. Nowackiemu⁹ odprawić Mszę św. w jednym zgrupowaniu, ja zaś w drugim. Msza św. o godzinie 8:30. Wszyscy ludzie wraz z oficerami wzięli udział w nabożeństwie. Przejęty swoją rolą wygłosiłem mocne choć krótkie przemówienie pt. „Ty, małej wiary, czemuś zwątpił?” – św. Piotr na morzu. Potrzeba nam wiary, ufności, zaufania do swoich przełożonych i wzajemnej współpracy, opartej na dużej wyrozumiałości. Zrobiło to dobre wrażenie. Miny się trochę wypogodziły...

Po powrocie do dowództwa naszego dowiaduje się, że jedzie nowy transport. Wyznaczono mnie do tego transportu. Postanawiam jednak wysłać ks. Nowackiego: sam zaś jechać z ostatnim. Tak się też dzieje. Jedna-

⁷ Zob. przypis 7 w części trzeciej dziennika.

⁸ Chodzi o ks. Władysława Kotowskiego SVD (ur. 1908 r., wyś. 1941 r., zm. 1975 r.). https://www.gornagrupa.werbisci.pl/neoprezbiterzy/1941_rok/1941_kotowski_wladyslaw.html (dostęp 7.06.2023).

⁹ Zob. przypis 24 w trzeciej części dziennika.

kowoż przed samym wieczorem dowiaduje się, że musimy wszyscy opuścić ten obóz, bo kilka tysięcy Hiszpanów przychodzi doń. Wyjeżdżamy do Port Wuodres. Żołnierze lokują się pod murem na pewnym placu nad morzem. Ja zaś udałem się do proboszcza, by tam naładować kasotę. Tam też przenocowałem z jednym z kapelanów harcerstwa we Francji. Jest to dominikanin – bardzo miły człowiek. Uciekł przed Niemcami z Larra i chce koniecznie wyjechać do Afryki – Algierii. Z wyjazdem ma dużo trudności.

24 czerwca 1940 r.

Godzina 4:30 budzę się. Strzela mi taka myśl – muszę go zabrać ze sobą. Pytam go: jak długo tu siedzi i czy ma jakieś nadzieje wydostania się? Dotychczas nie. Czy zatem nie zdecydowałby się jechać z nami? Wszak my najprawdopodobniej pojedziemy do Afryki. Spodobała mu się ta myśl. Szybko pakuje swoje manatki... Już jesteśmy gotowi do wyjścia. Zanosimy swoje rzeczy do mojej grupy żołnierskiej. Sami zaś, ponieważ kościół był jeszcze zamknięty wybieramy się na spacer za miasteczko. Pogoda cudna. Widok na port rybacki i na wzgórze pirenejskie wspaniały. Tylko w duszach naszych pewien lęk i niepokój. Co przyniesie najbliższa przyszłość? Czy zdążymy wymknąć się z rąk niemieckich? Rozmowa toczyła się na temat przyczyn upadku Francji. O godz. 6:00 odprawiamy być może ostatnią Mszę św. na terenie jeszcze wolnej Francji. Wracamy do obozu i kombinujemy, w jaki sposób zdołamy się przeszwarować? Postanowiłem nadać mu polskie imię i nazwisko – Piotr Lasko. Pod tym nazwiskiem ma jechać całą drogę. Znalazłem ubranie, wprawdzie brudne, ale żołnierskie. Do betretu doczepiłem polskiego orła. Wygląda doskonale. Chodzi tylko o to, by przynajmniej kilka słów umiał po polsku. Wszystko idzie jak z płatka. Okazuje się, że to nie jest tylko mój wynalazek. Cały szereg młodych oficerów lotników robi to samo. Przeszwarowaliśmy ich przeto koło 60. Po obiedzie w czasie ulewnego deszczu załadowano nas na statek pasażerski „President del Piare”, na którym spędziliśmy całą noc. Dostaliśmy dość piękne, powiem, luksusowe kabiny. Zamieszkałem z jednym bardzo inteligentnym i miłym podporucznikiem. Skończył literaturę w Warszawie. Na trzeciego zaprosiłem owego kapelana – Francuza.

25 czerwca 1940 r.

Po nocy czuje się dość dobrze. Morskie powietrze i spokój na statku zrobiły swoje. O godz. 9:30 opuściliśmy terytorialne wody francuskie, skierowując się gdzieś... nikt nie wie dokąd. Morze cudne. Spienione fale liżą

brzezi naszego okrętu. Zrobiłem kilka zdjęć. W ogóle początkowo zaczęło mnie to wszystko bawić. Jednakowe, stałe, rytmiczne kołysanie poczyna robić swoje. Ziemia już dawno zniknęła z oczu, a przed nami naokoło rozlane i spienione fale Morza Śródziemnego. Robi się ckliwo na duszy i na ciele. Zaczynam chorować... Dwa razy musiałem karmić ryby.

26 czerwca 1940 r.

Koło godziny 10:00 na statku niebywały ruch. Dowiadujemy się, że za chwilę mają nas wyładować na ląd. Jakoż niedługo daje się czekać. Oto naszych przygodnych kolegów Francuzów wyładowano i odwiedzić ich mają gdzie... my też mamy gdzieś jechać. Odwożą nas po prostu do jakiejś szkoły. Tam zatrzymujemy się na chwilę, gdyż dziś wieczorem kolejną mamy jechać znów w nieznaną dal. Z kpt. Kolaszyńskim¹⁰ wybieramy się na miasto. Zjadamy obiad i idziemy na miasto, żeby coś zobaczyć. Wszak to egzotyczna Afryka. Miasto piękne, bardzo malownicze. Na ulicach dużo drzew. Są piękne skwerki, ruch duży. Szczególnie widzi się całymi masami wojska – prym trzymają marynarze. Przecież to ich port. Miejscowa ludność chodzi ubrana przeważnie w swoje narodowe stroje. A zatem szaty długie, powłóczyście, białe. Kobiety z zasłoniętymi twarzami. Na ogół są bardzo brudni. Zajmują się... nie wiem czym. Na pierwszy rzut oka – sędzę – że olbrzymia ilość żywi się z żebractwa, czekając na obcych z Europy lub innej części świata turystów. Żebractwo tu dochodzi do niemożliwych granic. Po prostu trudno się ognać. Prowadzą jednak handel, który w większości należy do przybyszów. Zwiedzałem również katedrę. Oryginalna, ale piękna. Jest tu podobnie dość sporo katolików.

Po południu z polecenia ppłk. Iwaskiewicza udałem się do miejscowych władz portowych, by wyciągnąć od nich inż. Wolickiego z rodziną. Nie posiadał bowiem swoich papierów w porządku. Udało mi się to zrobić. Następnie wyjazd na dworzec. Załadowanie na pociągi i o godz. 24:00 odjazd do Casablanki¹¹.

28 czerwca 1940 r.

Pociąg idzie bardzo wolno. A przecież do przebycia jest ponad 800 km. Słońce jasne i ciepłe wychyliło swoje czoło spoza Sahary i opromieni-

¹⁰ Chodzi o kpt. Huberta Kolaszyńskiego ur. 1897 w Łowiczu, a zmarłego w 1969 r. w Koninie (Polska).

¹¹ Miasto w zachodnim Maroku, nad Oceanem Atlantyckim.

ło teren rozciągający się przed naszymi oczyma. Jestem w Afryce... Czyż kiedykolwiek przed tym strzeliłaby mi taka szaleńcza myśl, że w czerwcu w takich warunkach będę zwiedzał ową słoneczną i egzotyczną Afrykę? A jednak... a jednak tak jest... O gdyby to w innych okolicznościach – widziałoby się ją piękniejszą i ciekawszą. Dziś patrzę na nią. Ale poprzez łyzy, zamiast piękna afrykańskiego widzę piękną, kochaną i umęczoną Polskę i tęsknię za nią. Co się tam nie dzieje...

Afryka... robi na mnie dość dobre wrażenie. Widać tu już dużą kulturę. Olbrzymie tereny zasadzone winem lub innymi drzewami owocowymi. Gleba jest koloru „kakao” – Naturalnie ludzie również dostosowani do tego koloru. Przy tej kulturze rolnej masa jednak terenu leży odłogiem, a to ze względu na skalistość gleby. Całe pasma gór są pokryte nie tylko drzewami, ale nawet trawą. Mimo swej nagości jest dość malownicza. Spotykają się nawet rzeki – strasznie biedne w wodę, wrzynające się głęboko w skały.

Noce są dość chłodne. Dzień natomiast bardzo upalny. Ta wielka różnica temperatury między dniem i nocą daje się poważnie odczuwać przybyszom.

Na małych arabskich stacyjkach można coś dostać do zjedzenia. W niektórych miejscach Czerwony Krzyż gościnnie nas przyjmuje skromnymi potrawami. Przed wieczorem dojeżdżamy do typowo arabskiego miasteczka, który nazywa się Qudjda¹². Tu zjadłem kolację. Obsłużono nas dość dobrze, powiem nawet komfortowo. Kuchnia zupełnie francuska. Miasteczko dość piękne. Zwiedziłem je nieco. Ze względu na upał życie tu zaczyna się dopiero wieczorem. Handel trwa do godz. 21:30. Kupiłem nieco prowiantu. Sądząc z zachowania się niektórej młodzieży, moralność stoi tu bardzo nisko. Olbrzymia wina jest tu niewątpliwie po stronie ludzi, którzy szczycą się, przynoszą im kulturę. O godz. 24:00 odjazd w dalszą podróż. Jesteśmy już w Maroko.

29 czerwca 1940 r.

Dziś dzień św. Piotra i Pawła – obchodzony tak uroczyście w Polsce i nad naszym ukochanym morzem. Dziś nie można nawet myśleć o czymś podobnym. Nawet Mszy św. nie mogłem odprawiać ze względu na ciągłą podróż. Noc spędziłem możliwie dobrze. Trochę spałem. Obudziłem się o godzinie 6:00 – wskutek raptownego zatrzymania pociągu, wszyscy po-

¹² Dziś Wadżda.

padaliśmy z ławek na ziemię. Było to przed małą stacją kolejową Guercif. Krajobraz tu możliwie równinny – lecz pusty. Gorące słońce afrykańskie nie pozwala rosnąć nawet nędznej trawie. Koło godziny 10:00 zatrzymujemy się na stacji kolejowej Taza.

Tu panie z Czerwonego Krzyża przygotowały dla naszych żołnierzy sute przyjęcie w postaci chleba z masłem, kawy i jaj. Oficerowie otrzymali to samo, z tą tylko różnicą, że musieliśmy płacić. Wśród wielu pań z Czerwonego Krzyża była jedna żona pułkownika francuskiego. Zna trochę południowo zachodnią część Polski, bowiem po wojnie światowej przyjechała wraz z mężem na Śląsk, gdzie odbywał się plebiscyt. Mąż jej był przydzielony do korpusu ekspedycyjnego francuskiego. Za miastem Taza teren już więcej urozmaicony i nawet żyźniejszy. Widać gdzieś poletka ze zbożem... jakim? Nie jestem pewien. Wydaje mi się, że był to jęczmień.

Po drodze widać dużo arabów, jadących na osłach lub przewożących zboże, czy też drzewo. Nie znają wozów. Zresztą po górach z powodu braku dróg trudno byłoby używać wozów. Otóż! Po prostu przywiązuje się odpowiednie materiały do osłego grzbietu i tak przewozi. Sam zaś, jak jedzie – to ma po prostu wygodne siedzenie. Nogi spuszcza na jedną stronę. Jeżeli jest wysokiego wzrostu – to prawie stopami dotyka ziemi. Tymczasem małe osłátko postępując przebiera szybko cienkimi nóżkami, zdążając do celu wąską ścieżyną.

Po drodze spotkaliśmy wojskowe oddziały marokańskie, przygotowujące się do wojny. Niestety jest już za późno. Francja nas sromotnie zdradziła. A przecież tyle nadziei złożyliśmy w niej. Tak! Okazuje się, że najbardziej zaufany człowiek – czy naród zawieść może. Tylko jeden Bóg nigdy nie zawodzi! W nim pokładam swoje nadzieje. Wierzę mocno, że Polska będzie wolna.

O godz. 15:00 przybyliśmy do miasta Fez. Piękne to miasto. Ogromnie malownicze w swej białej szacie i w promieniach słonecznych odbijających się wyraźnie od obficie otaczającej go zieleni. Od tego miasta linia kolejowa już zelektryfikowana. Po drodze spotyka się piękne, zupełnie kulturalnie urządzone stacyjki kolejowe. Prawie wszędzie, gdzie się tylko zatrzymujemy przyjmuje nas Czerwony Krzyż. Pożyteczna to organizacja. W życiu swoim będę ją zawsze popierał w miarę swoich sił i zdolności.

O godzinie 18:30 jesteśmy w Meknes. Tu przyjmuje nas również Czerwony Krzyż. Pomagają młode harcerzyki i harcerki. Nawiązuje z nimi kontakt. Okazuje się, że są to przeważnie młodzi katolicy. Proszą mnie, żebym z nimi nawiązał korespondencję i przesłał im fotografię, którą przed chwilą

zrobiłem. Ci młodzi rwą się do boju. Są ogromnie rozczarowani postępowaniem rządu francuskiego. Opowiadają mi dużo o tych okolicach. Ziemia tu jest bardzo urodzajna. Oni, aczkolwiek urodzili się z rodziców, przybyłych z Europy czują się Marokańczykami. Naturalnie rasa i kultura ich różni się od miejscowej ludności.

Charakterystyka tutejszych wiosek: bardzo dużo bocianów na dachach szałasów. Ponieważ szałaszy te są bardzo nisko, zdaje mi się, że owe bociany są prawie oswojone. Wioski normalnie są bardzo nędzne.

30 czerwca 1940 r.

Niedziela. Rano o godzinę 6:30 dobijamy wreszcie do chwilowego miejsca postoju do Casablanka. Mnie śpieszy się bardzo. Chcę zobaczyć i uregulować w jakiś sposób nabożeństwo dla żołnierzy i oficerów. Niestety kaplica moja wyjechała wczoraj z portu Voudres z ks. Nowackim. Jakoś po pewnym czasie przyjeżdżają autokary, ładujemy swój bagaż na dach. Ponieważ wszystkich ogarnęła jakaś dziwna apatia, sam przeto chcąc dodać trochę animuszu załadowałem bagaż na autobus.

Przyjeżdżamy na miejsce. Ulokowują nas w szkole katolickiej Jeanne d'Arc. Jest woda i ubikacje zerowe – to przecież naprawdę luksus. Zakwaterowanie w salach na słomie. Krzątam się za ks. Nowackim. Chcę znaleźć kaplicę. Dowiaduję się w dowództwie, że on już wyjechał na lotnisko, żeby tam odprawić dla żołnierzy Mszę św. Dla oficerów zaś ma być w pobliskim kościółku o godz. 10:00. Dobrze! Ogromnie się ucieszyłem. On jest tu już dwa dni, więc widocznie zdążył uregulować sprawę z miejscowym duchowieństwem. Sam zaś z dr. Urbańczykiem (lekarz wojskowy) idę do katedry (obsługują franciszkanie) by odprawić Mszę św. Przeor przyjmuje nas bardzo gościnnie i prosi obu na śniadanie. Chętnie korzystamy z gościnności. Jeszcze zostało mi trochę czasu, więc biorę taksówkę i jadę do łaźni wykąpać się. Zawsze to trochę człowiekowi ulży, tym bardziej jak się zmieni świeżą i czystą bieliznę.

Po południu spotykam się z ks. Nowackim. Powitanie bardzo serdeczne. Naturalnie wybieramy się na zwiedzanie miasta obaj. Przedtem ściągamy swoją kaplicę z lotniska Casablanka. Piękne to, zupełnie nowoczesne miasto, urządzone częściowo po europejsku – położone na północno-wschodnich brzegach upalnej Afryki. Domy białe, jakby rozpalone do białości promieniami gorącego słońca. Ulice piękne, czyste i szerokie, wysadzonymi palmami. Ta nadzwyczajna harmonia białych domów w połączeniu z nie-

zliczoną ilością pięknych zielonych palm – robi niesamowite wrażenie. Te palmy – szczególnie one nadają miastu charakter podzwrotnikowy. Masa pięknych i bogatych magazynów. Reasumując to wszystko, muszę powiedzieć, że piękna i miła oku jest zewnętrzna szata Casablanki. Wnętrze jej jednak jest pełne zgnilizny. Jest to może najbardziej niemoralne miasto na świecie. Rozpusta szerzy się w zastraszający sposób. Szczególnie odznacza się tym pewna część miasta tzw. „wesołe miasteczko”, a raczej „smutne”. Nie byłem tam, tylko opowiadali mi fragmentarycznie nasi, którzy tam byli.

Po południu przypadkowo zaszedłem do kościoła – do katedry, gdzie odprawiało się nabożeństwo za Francję. Miejscowy wikariusz wygłosił przemówienie, nawołujące ludzi do spokoju i zalecając gorącą modlitwę za chylącą się do upadku Francję. Szkoda mi naprawdę tej Francji. Ja ją tak kochałem, tyle złożyłem w niej nadziei. Tak mocno wierzyłem w opiekę jej licznych świętych. Ale cóż... w ekonomii Bożej upadek ten był konieczny, po to, by postawić Francję na wyższym szczeblu duchowym. Daj to Boże, jak najprędzej!!!

5 lipca 1940 r.

Rano o godzinie 4:45 odwiedził nas samolot niemiecki. Chciał nas poczęstować „pigułkami” na wzmocnienie, ale nie zdążył. Gibraltar uważał, że nie honor przyjmować to lekarstwo od barbarzyńcy, który dawno zerwał z humanitaryzmem. Natychmiast przeto jako odpowiedź posłał mu bardzo silny zastrzyk na pośpiech w postaci niezliczonej ilości pocisków, że ten momentalnie musiał pochylić swoje dumne czoło i „lądować” na przeciwnym brzegu hiszpańskim. Podziwiałem tę niezwykłą siłę ognia, celność i sprawność baterii angielskich. Myślałem, że samolot ten znalazł się raptem wśród gęstych płatków rozpalonego śniegu. Cały był pokryty pociskami.

13 lipca 1940 r.

Jesteśmy w drodze do Wysp Brytyjskich. Płyniemy wciąż naprzód... Tylko szare chmury, gęste mgły – to znów słońce i pogodne niebo urozmaicają nam życie. Tęskno nam do ziemi. Od czasu do czasu przystanie się nad burtą „węglarza” i patrzy się beznadziejnie w dal, jakby chciało się przebić bezbrzeżny horyzont i za nim ujrzeć kawałek lądu... Beznadziejność. Nie mógłbym być marynarzem... A przecież kiedyś tak o tym marzyłem... Tak... Ale to były marzenia. Dziś jest rzeczywistość... Człowiek

już trochę skołatany. Teraz się nie dziwię, że piosenki marynarskie są przeważnie pełne sentymentalizmu... Tak, bo warunki w jakich się one rodzą są również pełne sentymentalizmu. Ten ogrom morza, ta szara głębia jego wód, ta beznadziejnie wielka przestrzeń, a przy tym niewielka szybkość poruszania się, ta monotonia wreszcie – to wszystko człowieka przygniata.

Dziś o godzinie 15:45 urozmaicił naszą podróż jeden z bombowców niemieckich. Morze było tak niespokojne, że o obronie mowy być nie mogło. Zrzucił ładunek bomb (6) na nasz statek (ponieważ był największy i dowodził całym konwojem) i spokojnie odleciał do swojej bazy na terenie prawdopodobnie Francji. Bomby wpadły do wody niedaleko statku. Fontanny wody świadczyły o ich złowrogiej sile. Wyszliśmy cało. Gorsza jednak sprawa – co z nami będzie za godzinę lub dwie. Wszak sądzić trzeba, że on nam nie podaruje. Wyśle niewątpliwie depezę drogą radiową i sprowadzi całą eskadrę bombowców. Dla nich przecież to gratka nie lada. Jest nas ponad 20 statków. Przy tym olbrzymia odległość od lądu. Nikt nam nie przyjdzie z pomocą. Złe samopoczucie wzrasta z każdą minutą. Trzeba zatem uwagę ludzi odwrócić od tego przykrego tematu. Wszystko przecież w ręku Pana Boga. Niech się dzieje Jego wola przynajświętsza. Rozmyślanie i dyskusja nic nam nie pomogą, ani zaszkodzą. Co tu robić? Trzeba czymś ludzi zająć. Pogadanki. Przecież to jedno, co nam pozostało. Wprawdzie to są zajęcia niejednokrotnie bardzo nudne, ale co robić. Dla zabicia czasu podobnież używa się zawsze rzeczy najnudniejszych, co więcej rzeczy nudne są podobno najlepszym lekarstwem na bezczynność. Idę przeto do ludzi i mówię im, że wygłoszę pogadankę pt. „Konkordat”. Ludzie się ożywili. Następnie po pogadance wywiązała się ożywiona dyskusja na temat konkordatów i naszego stosunku do Stolicy Apostolskiej szczególnie w obecnej dobie.

Uniesiony tym sukcesem idę do drugiej grupy i tam o godzinie 18 wygłaszam nową prelekcję na temat: „Kanonizacja świętych pod względem prawnoliturgecznym”. I znów dyskusja. Jednym słowem – czas przeszedł do wieczora. Samoloty nie zjawiły się. Modlitwę wieczorną ofiarowaliśmy jako dziękczynienie za szczęśliwe przebycie dnia. Nastąpiła noc – ten prawdziwy przyjaciel w obecnej niebezpiecznej naszej wędrówce.

14 lipca 1940 r.

Ogłoszono ostre pogotowie od samego rana. Przepływamy bowiem w strefie bardzo niebezpiecznej. Jesteśmy w zasięgu lotnictwa i łodzi podwodnych. Trzeba zatem przygotować się na wszystkie ewentualności. Żoł-

nierzom zabroniono chodzenia grupami po górnym pokładzie. Tylko załatwianie niezbędnych spraw upoważnia do wychylenia skołatanych kości... Będzie można porządnie się umyć słodką wodą z mydłem!!!

Oczywiście przy takim nastroju każdy bierze się chętnie do robienia porządków. Musimy przecież zostawić ten statek w możliwym stanie dla przyszłego transportu węgla (jest teraz znacznie czystsze niż myśmy do niego weszli). Robota idzie rażno. Niektóre grupy już wykończyły swoje roboty. Trzeba przeto zrobić porządek koło siebie, a szczególnie gęby nasze muszą wyglądać do ludzi. Wszak w Anglii „gentelman goli się co dzień, a żołnierz musi”.

Tu jednak nastąpiła tragedia. Do jednej dziury pod przednim pokładem z wysokości 10 m spadł pewien kapral w czasie golenia. Potłukł się w niemożliwy sposób. Wydobyto go zupełnie nieprzytomnego. Oczywiście szybko umyliśmy go. Lekarz dał jakieś zastrzyki. Chory się jednak nie obudził. Lekarze stwierdzili, że stan jest bardzo poważny, jeżeli niebeznadziejny. Udzieliłem mu przeto rozgrzeszenia i zaopatrzyłem w Oleje Święte. Na noszach złożono go w salonie kapitańskim. W nocy na chwilę odzyskał przytomność. Stan jednak w dalszym ciągu bardzo poważny.

16 lipca 1940 r.

Dzień dzisiejszy wyjątkowo uroczysty. O godz. 8:00 na maszt statku obok flagi angielskiej wciągnięto flagę polską. Po odegraniu hejnału rozpoczęłam na pokładzie Mszę św. dziękczynną. Byli obecni wszyscy oficerowie i żołnierze. Chór odśpiewał pieśni kościelne. Nastrój prawdziwej radości... jakbyśmy co najmniej przyjechali do Polski. Widać gorączkowe przygotowanie do wylądowania.

O godz. 11:30 wpłynęliśmy do zatoki i zapuściliśmy kotwicę. Dookoła miasta widać niezwykle porządek, czystość i zamożność. Na zatoce masa małych łódek. Jest to miasteczko Rothesay¹³ – miejscowość nadmorska, gdzie zmęczeni pracą mieszkańcy przyjeżdżają na wypoczynek. Przeważnie jednak niewiasty przyjmują nas z entuzjazmem. Krzyczą „niech żyje Polska”. Zapraszają do siebie. Tu wyladowują naszych chorych do miejscowego szpitala.

Po pewnym czasie ruszamy dalej rzeką Clyde w stronę Glasgow¹⁴. Brzegi rzeki prawie całkowicie zabudowane. Masa najrozmaitszych fabryk, stocz-

¹³ Jedyne miasto i główny ośrodek administracyjny wyspy Bute w Szkocji.

¹⁴ Największe miasto Szkocji, uznane za jej komercyjną stolicę, położone nad rzeką Clyde. Miasto stanowi samodzielną jednostkę administracyjną.

ni itp. Ogromne bogactwo! Gdzie tu porównywać brzegi naszych wielkich rzek – do tej niewielkiej i brudnej rzeczulki. Jest ona do ostatecznych możliwości wykorzystana. Masa statków i małych barek kursuje w jedną i drugą stronę.

O godz. 20:30 dobijamy do doków w Glasgow. Zaczyna padać gęsta deszcz... Władze nasze wraz z angielskimi zastanawiają się co z nami zrobić... wyładować dziś, czy jutro? Miny nam zrzedły... Czekamy cierpliwie... Dziś bowiem już nic nie jedliśmy, bowiem kuchnia i ustępy już wcześniej wieczorem znalazły się w morzu... Przestrzegałem, że te przedmioty winny zniknąć ostatecznie z naszego statku. Tymczasem teraz deszcz, zimno i nie ma nic ciepłego. Wreszcie o godz. 22:30 zapadła decyzja – nocujemy na statku... Jedno tylko słowo dało się słyszeć prawie ze wszystkich ust „cholera”. Rozeszliśmy się każdy do swojej grupy. Trzeba znów zdobywać koce. Gorsza sprawa. Teraz swojego się nie znajdzie... u żołnierzy podobnie były wszy... Trudno! Kto to dziś patrzy na taki drobiazg. Sen wszystko przemoże... nawet pchły! Jestem zziębnięty, chory i mam jakieś paskudne bóle żołądka.

19 lipca 1940 r.

Szkocja. Piękny to kraj – nie krajobrazami, ale duszą. Dużo się o nim słyszało kiedyś. Dużo anegdotek opowiadano o Szkotach, o ich niezwykłym skąpstwie, o tym, jak to Szkot kładzie się spać zatrzymując zegarek, żeby się nie zniszczył, o ich spódniczkach itd.

Moje wrażenia i moje zdanie o Szkocji i Szkotach. Jest to kraj dość zaoczny, szczególnie jego środkowa i południowa część. Liczne bowiem kopalnie węgla, nadzwyczaj rozwinięty przemysł przynoszą dużo zarobków tutejszej ludności. Krajobraz dość urozmaicony, nawet górzysty. Góry jednak nie są pokryte lasami, ale za to mnóstwo fioletowych wrzosów zaległa owe wzgórza, strzegąc zazdrośnie swoich placówek. Nasienie przeto drzewne nie ma dostępu. A może i klimat nie sprzyja. Jest tu ogromnie dużo opadów. Nieraz całymi dniami przewalają się przez Szkocję kłębiaste chmury, zalewając bezlitośnie fioletowe główki wrzosów. One zaś przytulone do skały czekają aż sprośny wiatr nadleci, potarga ich za głowy, otrząśnie roś z ich małych kielichów, wysuszy, rozpędzi chmury i odsłoni życiodajne słońko. Wówczas skromny wrzosik pokiwa główką, jeszcze lepiej się zarumieni i znów z wdziękiem popatrzy i zamruga na słońko, by się nie dało przysłonić brudnym i ołowianym chmurom. I tak wciąż powtarza się to stale natrząsanie się chmur i przymilanie się wrzosów...

4 sierpnia 1940 r.

Nabożeństwo znów na sali. Jak poprzednio tak i dziś wszystkie paramenty do Mszy św. pożyczyłem od jezuitów. Kazanie wygłosiłem na następujący temat „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają”. Chodziło niestety o poruszenie koniecznie 6 przykazania Bożego. Niestety, moralność naszego wojska – a szczególnie oficerów pozostawia wiele do życzenia. Jeżeli nam pozwoli Bóg wejść do Ojczyzny – to przede wszystkim należy się domagać bezwzględnej reformy w wojsku. Tam źle wychowywano. Natomiast płacono dobrze. Skutek taki, że protestancka i rozbita na sekty Anglia musi nas uczyć moralności – nas katolików! Wstyd i hańba.

Po południu odwiedziłem pewną organizację społeczną, która ma na celu opiekę upadłych kobiet i pijaczek. Posiada dość spory kapitał zakładowy. Poszedłem specjalnie, bo interesowała mnie ta sprawa. Zwiedzałem ten dom, przemawiałem po francusku do tych kobiet (tłumaczył jeden ksiądz). Dyrektorka oświadczyła mi, że jedna z sal będzie nosić tytuł Our Lady of Częstochowa¹⁵. Organizacja ta nazywa się „Legion Maryi”.

6 sierpnia 1940 r.

Dziś wraz z księdzem M. Robert` s¹⁶ urządziliśmy wycieczkę do stolicy Szkocji – Edynburga. Piękne to miasto położone na wschodnich brzegach Szkocji nad dużą zatoką. Oprócz swego naturalnego piękna i niezwyklej czystości posiada piękne zabytki architektoniczne, jak zamek na skale – tam piękne muzeum wojskowe, szczególnie ładne mauzoleum poległych Anglików w wojnie światowej. Piękny kościół ongiś katolicki – dziś, niestety, protestancki, letnia rezydencja królewska.

Zwiedziłem to miasto wraz z zabytkami bardzo pobieżnie, ponieważ nie mieliśmy dużo czasu. Szkoci są dumni ze swojej stolicy, gdzie zazdrośnie przechowują dotychczas insygnia królewskie dawnej Szkocji.

¹⁵ Matki Bożej Częstochowskiej.

¹⁶ Bliżej nieznanego kapłana.